№ 49 WARSZAWA, DNIA 7 GRUDNIA 1912 ROKU ROK II

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy

Robert na ten widok doznał silnego wzruszenia.

— To jest cząstka wstążki, jaką zwykle Alberta związuje włosy—szepnął zmienionym głosem.—Zaruk powiedział prawdę: ona jest tutaj!

Jerzy patrzył zdumiony: dotąd niezupełnie wierzył słowom Zaruka, lecz teraz miał przed oczami niezbity dowód jego intuicji. Robert trzymał w ręce zaciśniętej ten dowód cenny, będący niezbitą wskazówką.

Murzyn po chwili zapalił wydobytą z pod burnusa latarkę i posuwali się dalej. Robert wysunął się naprzód, aby być pierwszym, którego Niewidzialni spostrzegą: Zaruk drżał konwulsyjnie, a twarz jego przybrała kolor ziemisty, będący u czarnych oznaką najwyższego przerażenia.

Nagle się zatrzymał: zęby mu szczękały, głośno, a latarka w jego ręce trzęsła się jak liść na wietrze. Ralf odebrał mu ją, mówiąc:

— Dajże ją, kiedy masz taką drżączę...

Nie dokończył. Wielki, niewyraźny cień przesunął się między nim a ścianą, a Jerzy uczuł na swem czole dotknięcie miękkiego, błoniastego skrzydła. Włosy jego zjeżyły się na głowie, dreszcz zgrozy przebiegł ciało.

— Niewidzialny! — przemknęło mu przez głowę.

W tejże chwili wycelował rewolwer w stronę widziadła i wypalił. Śmiech ostry, przytłumiony dał się słyszeć i kula upadła u nóg Jerzego. Myśląc, iż się odbiła od skały, podniósł ją i obejrzał: była nienaruszoną zupełnie.

Wszyscy milczeli zdumieni; Zaruk był podobniejszy do umarłego, niż do żywego.

— Strzelałeś do Niewidzialnego? — spytał wreszcie Ralf.

— Tak mi się zdaje... — wyjąkał młody człowiek i pokazał nienaruszoną kulę.

— Tak — mruknął Ralf — to jest ten sam fenomen... Widziałem w Indjach jogów, którzy pozwalali do siebie strzelać: kule, odbite siłą ich wzroku, powracały do strzelających. O ileż większą siłę woli muszą posiadać te potwory o mózgach tak olbrzymich! Twój brat ma słuszność: jest to straszne, lecz przekonywam się, iż jesteśmy wobec nich bezbronni...

Te słowa podwoiły odwagę Jerzego, nie zniechęcając go bynajmniej.

— Zobaczymy! — zawołał, zaciskając pięści — nie ustąpię ani kroku.

I zanim zdołano mu przeszkodzić, strzelił jeszcze trzy razy w kierunku widziadła.

Trzy kule, podobnie jak i pierwsza, upadły przy jego nogach, lecz po ostatnim wystrzale, z podziemi dał się słyszeć mocny, rozpaczliwy krzyk.

— Alberta... To głos Alberty! — zawołał Robert — usłyszała nas i przyzywa do siebie!

Rzucił się naprzód, lecz w tejże chwili zaczął się cofać, wydając okrzyk gardłowy, jakby zduszony.

Ku najwyższemu zdumieniu swych towarzyszy, robiąc rozpaczliwe ruchy rękami, cofał się ku wejściu do jaskini!

— Dokąd idziesz, Robercie? — zawołał Ralf — dlaczego odchodzisz?

Tu umilkł, przejęty zgrozą, gdyż ujrzał, że nogi inżyniera nie dotykały ziemi. Zanim ochłonął z wrażenia, uczuł się pochwyconym za włosy i wleczonym ku drzwiom jakąś nadludzką siłą. Gdy przyszedł do siebie, ujrzał się na zewnątrz podziemia, przy swych towarzyszach, równie jak on, wystraszonych.

Długi czas przeszedł, nim oprzytomnieli nieco; wreszcie Robert wyjąkał z trudem:

— Czy widzieliście? Nawet nie raczyli nas zabić, wyrzucili nas tylko pogardliwie ze swego legowiska. Mają Albertę w swojej mocy. Co robić, o Boże, co robić!?

— Oni ostrzegać nas teraz, a jeśli my jeszcze raz do nich pójść — to oni nas zabić... O, Allach, jak ja się bać strasznie... Biedna moja pani!...

(D. c. n.)

(Tłom. z fran. *K. W.*)

MARJA KACZKOWSKA.

ODZIMEK CZYLI RYCERZ ŚPIĄCY

(BAŚŃ TATRZAŃSKA).

DOKOŃCZENIE.

Odzimek, który lat tyle żył wśród zimowych krain, wyrósł, zmężniał, wzrostem o głowę wyższy był od tych, co go otaczali, a siłę miał wielką; poskoczył, niewidzialną dotknięty siłą, poczuł w żyłach swoich zapał dotąd nieznany, oburącz miecz jak piórko chwycił, i po wielu latach nad głową krzyż nim naznaczył.

Wszyscy uradowani zawołali:

— On będzie wodzem naszym!

— Ale kto on? kto ty?

Wtedy Odzimek tak rzekł.

— Nie znacie mnie? wszak jam Jontek, Krystyniuków, Odzimek! Porzuciłem was, zabaczyłem ojca, matki, wyrzekłem się ojczyzny mojej, gór kochanych. Po-

rwany przed laty przez królowę Zimę, zwodnicy tej oddałem całego siebie i mocy złej zaprzysiągłem duszę moją. Dziś przejrzałem, powracam do was i proszę, mo-

ne łzy rosiły twarz—choć mróz je studził i wstrzymywał.

Gazda ostatni wyciągnął prawicę do uścisku.



.... chwycił oburącz miecz jak piórko i nad głową krzyż nim naznaczył...

lestuję, przez miłość braterską, nie odtrącajcie mnie, pójdę z wami!

Wszyscy się ku niemu rzucili, ściskali dłoń marnotrawnego syna, a jemu niezna-

— Jontku, żeś zabaczył rodzicielskiej miłości, toć odpokutuj synu, a krew swoją daj na ofiarę matce-ziemi — dźwignij miecz ten i prowadź swojaków!

Uszczęśliwiony Odzimek miecz wzniósł i wyszedł przed grotę, a za nim chcieli iść inni, kiedy nagle zahuczały ze strasznym szumem skały. Zakotłowała się zamieć, gnana wiatrami północy, a wśród nich ukazała się Zima.

Głosem, który rozległ się daleko naokół, ryknęła:

— Przeklęty tworze ludzki, ty, który przysięgałeś, iż moim będziesz wiecznie, giń!—przepadnij!

Wszystkie uczucia w tobie zabiłam — jedna tylko iskra pozostała, której zmódz nie mogłam, nie dopatrzyłam, a ona silniejsza się stała od wszelkiego kochania, to jest: miłość ziemi rodzinnej. Porzucić mnie chcesz dla widma: to ci przyniesie śmierć! Jeszcze się namyśl, odpowiedz — powróć do mnie, Odzimku — rzuć te nieziszczone nadzieje — otrzymasz bogactwa jeszcze większe i szczęście niczem nie zamglone. Cóż? wrócisz?

Lecz Odzimek, zapatrzony w klingę miecza, nie zwrócił oczu na królowę, tylko zawołał wielkim głosem:

— Nie!

— A więc giń! przepadnij! nieszczęsny!

Z ostaniem słowem wydanego wyroku, wiedźma rzucić kazała na zuchwalca, który śmiał zerwać niewolnicze pęta, skałę.

Upadł Odzimek, przyciskając miecz do piersi. Zmartwiał, skamieniał.

Obecni, przerażeni ukazaniem się widma Zimy—skryli się w grotę, inni poczęli uciekać.

Pierwszy Gazda do przytomności wrócił, ukląkł i modlić się począł za umarłych, a za nim szedł szept całej gromady.

Powstali. Starzec rzekł:

— Kto zamknął serce swoje na łzy matki, zapomniał o Bogu, a oddał się w posiadanie złych mocy, ten zginąć musi. Ale Bóg jest Wszechmocny. On wskrzesić może nawet kamienie, aby świadczyły o Jego potędze, a miłosierdzie Jego odszuka zaginione dusze.

. . . .

Zawzięta, rozszalała w gniewie Zima, zawyła, chcąc zmiażdżyć Gazdę i gdyby to było w jej mocy, zniweczyłaby tatrzańskie sioła, zwaliła na nie skalne olbrzymy, ale to przechodziło granice jej władzy. Wzywała wichry ze szczytów, aby opadły na zniewidzoną ziemię.

Lecz zamiast nich, od strony południowej szły inne, ciepłe, halne, które stopiły rychło śnieg, uniosły śnieżną mgłę ku chmurom, a te wylały obfite deszcze, oczyściły ziemię z zimowej pleśni

Zazieleniły się lasy i góry, łąki pokrył kobierzec trawy, którą przetkały różnorodne kwiaty polne. Dobroczynna wiosna zapanowała nad Zakopiańską doliną.

Słońce, jej sprzymierzeniec, ogrzewało ziemię, czyniąc ją urodzajną.

Pośród skał zarysowała się wyraźnie postać rycerza, zamienionego w kamień.

Skałę tę widzieć można wśród Kościeliskiej Doliny.

Opowiadają górale, że słyszany bywa w tej stronie cichy szept modlitwy. Lud utrzymuje, iż to jest błaganie matki do Boga o przebaczenie dla ukochanego syna, który, jakkolwiek wszystkich wyrzekł się uczuć, nie był głuchy na wezwanie tego potężnego uczucia, jakie powinno tkwić w sercu każdego syna tej ziemi, tylko niestety, zbudziło się ono zapóźno.

To uczucie zwie się: „Miłością Ojczyzny".

Moja podróż.



Wreszcie nadszedł z takiem utęsknieniem oczekiwany przez nas dzień! Jak oszalały z radości, że już tylko kilka godzin dzieli mię od radosnej chwili, gdy uścisnę mateczkę moją, tę kochaną, najśliczniejszą, najlepszą ze wszystkich matek na świecie, wycałuję pucołowate buziaki moich drogich siostrzyczek, z któremi od czasu do czasu sprzeczam się, kłócę, ba, wstyd to przyznać, nawet czubię, ale które tak szczerze, tak bardzo kocham,—ujrzę moje drogie Brzeziny, za któremi zawsze tak serdecznie tęsknię tu, między nieznośnemi murami.

Porywałem z sofy bieliznę, książki, ubranie, zeszyty, ba, wszystko, co mi wpadło pod rękę i rzucałem do kosza.

— Wiwat! Niech żyją święta!—pokrzykiwałem od czasu do czasu do czasu, a koledzy moi wtórowali mi ochoczo, również „solidnie", jak ja, układając swoje rzeczy do walizek, kuferków, koszy, co kto miał.

— Ach!—krzyknąłem nagle—kosz pełny, a tu tyle jeszcze rzeczy! co robić?

Poważny, systematyczny Janek, spojrzawszy na moje dzieło, zauważył flegmatycznie:

— Wyjmij te rzeczy i ułóż porządnie, a zmieścisz wszystko i nawet zostanie ci miejsca.

— I, co ty gadasz!—burknąłem niezbyt zachwycony jego radą, gdy w tej chwili zawołano mnie do telefonu.

Pozwalano nam, uczniom, używać w szkole telefonu tylko w tak niezwykłych chwilach, jak naprz. wyjazd na święta lub wakacje.

Pobiegłem szybko. Pewnie wujaszek...

— Proszę... kto mówi?... A tak... wujaszek... Nie może wujaszek... jaka szkoda... Co..? O czwartej i pół...? konie przysyłają na ten pociąg...? O... to muszę się śpieszyć... Nie zupełnie... jeszcze mam trochę rzeczy spakować... Nie wiem czy zdążę... myślę, że będzie lepiej jechać wprost na kolej... Mam, dziękuję!... tatko przysłał mi... O, prezenty już porobione,... tak, dla wszystkich... proszę bardzo... jeżeli wujaszek zaraz przyśle, zabiorę z przyjemnością... Ah, chociażby paczka była bardzo duża... Ależ mam miejsce, zmieszczę... Dowidzenia... wesołych świąt... Dowidzenia...

Rzuciłem słuchawkę i popędziłem, jak szalony. Zostawało mi dwie godziny do odejścia pociągu a tu tyle jeszcze do załatwienia: rzeczy spakować, iść do dyrektora z pożegnaniem, czekać na paczkę od wujaszka... no i kupić konwalji, świeżych konwalji dla mateczki... tak

lubiła ten kwiat, a tam na wsi o tej porze ani marzyć o kwiatach!

— A to piekielna sprawa z tym koszem! Jak tu zapakować tę resztę rzeczy!

— Poczekaj, Almanzorze! (był to mój przydomek w szkole) zaraz ci pomogę.

I Zyg, mój wielki przyjaciel, a największy łobuz w klasie, zanim się spostrzegłem, stał w koszu i z zapałem udeptywał moje rzeczy.

— Człowieku! co robisz! — wrzasnąłem.

— Pomagam ci, przecież widzisz! A co? już więcej miejsca. Chodź i ty udeptywać!

Lecz mnie to nie przypadło do gustu; dość szorstko poprosiłem kolegę, by opuścił mój kosz, w którym rzeczywiście było obecnie dość miejsca i zacząłem dalej układać rzeczy. A Zyg mi dogadywał:

— O, delikacik! Ja tak zawsze rzeczy pakuję. A nie widziałeś to, jak po wsiach kapustę w beczkach ubijają. I podobno wtedy jest najsmaczniejsza!

Nie miałem czasu odpowiadać, bo właśnie zawołali nas do dyrektora... potem zaraz był obiad. Próżno wymawiałem się, że mi się jeść nie chce; musiałem jednak nietyle jeść, ile siedzieć przy stole, a tu czas leciał, jak na skrzydłach.

Przyniesiona od wujaszka paczka, która zawierała podarki na gwiazdkę, była dość duża, a przytem na wierzchu widniała kartka:

— Ostrożnie! szkło i różne kruche rzeczy!

Nie było rady! wyrzuciłem trochę rzeczy i zapakowałem ją do kosza. Ale co robić z resztą? Zostawić? Niepodobieństwo! Naprz. motorek, mego własnego pomysłu, albo nadzwyczajna kolekcja kamieni z wycieczek, albo pęki przepysznych szpagatów, ołówki, obsadki, kolekcja okładek i t. p. nadzwyczaj ważne przedmioty...

Zapakować w papier? Przedrze się.

W chustkę od nosa? za mała. W prześcieradło? za duże.

Eureka! Od czegóż są ręczniki! Większe od chustki, mniejsze od prześcieradła!

Szybko począłem ładować pozostałe książki, parę butów, paczkę różnokolorowych ołówków, różne drobiazgi, dla mnie bardzo drogie, chociaż, przyznaję, bez wartości dla człowieka, który nie wiedział, co one znaczą.

Mój motorek również tu się znalazł!

Okręciłem to wszystko ręcznikiem, z wierzchu ponadto owiązałem chustką do nosa. No, pakunek nie był piękny, ale za to mogłem być spokojny, że mi się nie rozleci!

Czasu było już niewiele. Pośpiesznie pożegnałem kolegów i usadowiłem się w dorożce. Koszyk mój sterczał na koźle, białe zawiniątko trzymałem na kolanach.

Po drodze zatrzymałem dorożkarza przed sklepem z kwiatami.

— Proszę poczekać chwilę. Muszę tu jeszcze wstąpić; i proszę uważać na rzeczy.

— Dobrze, dobrze! — mruknął mi w odpowiedzi niezbyt uprzejmym tonem, ja zaś wbiegłem do sklepu, od progu już wołając:

— Proszę o konwalje, tylko świeże i ładnie pachnące. A proszę dobrze zapakować, bo to w drogę, żeby nie zmarzły!

D. c. n.

M. B. A.

Dzielny żołnierz.

Z obecnej wojny na Bałkanach opowiadają wiele faktów, świadczących o wielkiem bohaterstwie Bułgarów.

Naprzykład w czasie walki pod Adrjanopolem zagrzmiał rozkaz:

— Na bagnety!

Turcy mieli korzystną pozycję, gdyż piechota ich okopała się wysokiemi wałami, a artylerja raziła atakujących Bułgarów gęstym deszczem granatów i szrapneli, ale na szczęście padały one nieszkodliwie. Turcy źle mierzyli, gdyż nawet nie wiedzieli napewno, gdzie się znajduje nieprzyjaciel. Bułgarzy posuwali się z początku bardzo wolno, jak węże pełzali po ziemi, kryjąc się za krzakami, pagórkami, kamieniami. Zasłaniał ich przytem dym z armat tureckich.

Jeden z żołnierzy stracił cierpliwość, zadługie wydawało mu się to pełzanie po ziemi. Nie mógł się doczekać, kiedy stanie na górze i uderzy piersią o pierś wroga. Podniósł się i tylko nieco schylony, z karabinem pochylonym, jak do ataku na bagnety, począł się piąć do góry. Zapomniał, że idzie sam i odsunął się daleko od towarzyszów. To też osłupiał na chwilę, gdy się nagle znalazł przed kartaczownicą turecką, sam zupełnie i zobaczył, jak artylerzysta turecki sypie kulami w stronę Bułgarów. Ale wnet odzyskał przytomność.

— Na bagnety!—ryknął, ile mu głosu starczyło.—Hura!

I w tej samej chwili przebił bagnetem artylerzystę. Dwaj drudzy Turcy pierzchnęli przerażeni, nie oglądając się. Bułgarskie ataki „Na bagnety!" tak im się już dały we znaki, że dość tylko tego okrzyku, aby Turcy ratowali się ucieczką.

Ale nasz bohater na tem nie poprzestał. Rzucił się, jak piorun, ku kartaczownicy, odwrócił ją w przeciwną stronę i zaczął prażyć szeregi tureckie. Turcy padali, jak kłosy, reszta umknęła.

Zaraz też nadbiegli towarzysze i reszta oddziałów. Znów grzmiący okrzyk:

— Na bagnety!

I po chwili cała pozycja z działami i amunicją była już w rękach bułgarskich.

Nazajutrz bohater, już jako podporucznik, prowadził swój oddział do nowych ataków „na bagnety!"

WYWIADOWCA

sceny z życia młodzieży angielskiej,

według dzieła twórcy organizacji wywiadowców (Boy Scouts), pułkownika Baden-Pawella.

opracował E. J. Kr.

Ciąg dalszy.

Wynalazł wtedy środek przeciwko tym przekleństwom, polegający na tem, że zaznaczał za każdym razem, kto najwięcej ich miotał, a wieczorem, za każde przekleństwo, wylewano mu w rękaw szklankę wody. Środek ten tak „oczyszczał" winowajców, że wkrótce całemi tygodniami nie było słychać ani jednego wymysłu.

Mowa Dicka tak była barwna, zajmująca i urozmaicona tylu przykładami, że

zasłuchawszy się, zapomnieliśmy o tem, że nie jedliśmy od rana. Dopiero on sam nam o tem przypomniał, mówiąc po spojrzeniu na słońce:

— No, chłopcy, ale nasze żołądki napewno upominają się o prawa swoje. Zajmijcie się teraz obiadem!

I wyznaczył każdemu, co miał robić przy przygotowaniu pokarmu, tak że w chwilę potem obóz nasz przybrał wielkie podobieństwo do kuchni.

Tam nad ogniskiem, w kociołku, gotowano zupę, tam znów pieczono chleb, czyli raczej imitujące go placuszki, gdzieindziej zaś przyrządzano mięso na befsztyki. Że zaś robota ta szła niesporo, zabrał się do tego Dick, mówiąc przytem:

— Przedtem, zanim przygotujecie się do jedzenia zająca, należy go złapać. Toż samo zupełnie słusznie zastosować można i do baraniny i do wołowiny — należy przyprowadzić owcę lub wołu do żądanego miejsca. Potem należy umieć zarżnąć bydlę i rozciąć na odpowiednie części, zanim się przystąpi do przygotowania z nich jedzenia.

Wywiadowcy powinni umieć pędzić owce, rogate bydło i konie. Nowicjusz zawsze zapomina wysłać kogobądź naprzód, ażeby je prowadzić.

Przy przepędzaniu owiec pamiętać należy zawsze o tem, że one strasznie stłaczają się w środku, tak że owce znajdujące się tam, duszą się z braku powietrza, kurzu i gorąca. Dla tego też pożądanem jest, ażeby jeden z pędzących znajdował się w środku stada, usuwając zbyt wielkie stłaczanie się. Przy napotkaniu przeszkody, przez którą przejść należy, kiedy pędzi się owce, trzeba przenieść jedną lub dwie przez nią, a wtedy pozostałe przejdą same; nie należy ich przytem naglić.

Bydło rogate biją zazwyczaj przez uderzenie obuchem w głowę, lecz niekiedy używa się i innych sposobów.

Owce zwykle kładą na bok i, odciągnąwszy w tył głowę, przeżynają gardło wielkim ostrym nożem, lub też strzelają im w czoło ślepym nabojem.

Potem zwierzę paproszą, to jest otwierają jamę brzuszną i wyjmują wnętrzności, zachowując tylko wątrobę i nerki.

Ażeby zdjąć skórę z zabitego zwierzęcia, należy położyć je na plecach i rozcinać ostrym nożem pośrodku i po wewnętrznych stronach nóg. Potem zdzierają skórę, pomagając nożem w tych miejscach, gdzie przylega ona do ciała i nie schodzi; najpierw z jednej strony, a potem z drugiej—aż do grzbietu.

Na wypadek, jeżeli zwierzę jest wielkie, mięso rozcina się na połowę; owcę również rozcina się na połowę. Obydwie połowy rozdziela się potem na części.

Wywiadowca powinien umieć doić kozy lub krowy, gdyż inaczej cierpieć będzie pragnienie, podczas gdy mógłby ugasić je mlekiem. Kozę doić jest trudniej, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka. Potrzeba trzymać ją jedną ręką za głowę, drugą — za jedną z tylnych nóg, i już trzecią, jeżeli by tylko kto ją miał, doić. Tuziemcy przytrzymują zwykle tylną jej nogę między wielkim a pozostałymi palcami u nogi, i w ten sposób wystarcza im rąd do dojenia.

(D. c. n.).

MARYLA ŻARSKA.

KUZYNEK LULUŚ.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

Ciąg dalszy.

SCENA V.

Zula (układa na stole). Taka jestem zaniepokojona o chłopców, żeby tylko nie przyczepiła się do nich jaka niebezpieczna choroba. Mamusia i tak ma tyle przejść z powodu cierpień babuni (ktoś stuka do drzwi) proszę wejść!

SCENA VI.

Zula, Luluś.

Luluś. To ja, Zulu! (witają się serdecznie).

Zula. Luluś, o tej porze? Spodziewaliśmy się ciebie o godz. 8-ej, a to 5 ta zaledwie!

Luluś (siada na fotelu). A ja zupełnie niespodziewanie przyjechałem o 3-ej i chcąc zrobić większe wrażenie moją osobą, miałem się ukazać dopiero w chwili, kiedy zasiądziecie do podwieczorku. Jan zaprowadził mnie do pokoju wuja, gdzie przeleżałem na otomanie i mimowolnie podsłuchałem rozmowę Zbyszka i Rysia. Wiesz, Zulu? ta cała choroba, to blaga.

Zula. Co też mówisz, Lulusiu! Czyżby chłopcy śmieli tak ze mnie żartować?

Luluś (całuje ją w rękę). Nie gniewaj się na nich, Zulu droga. Zrobili to z najlepszych pobudek. Chcieli zdobyć trochę czasu, aby mi przystroić pokój, no i poświęcili tę nieszczęśliwą Elizę.

Zula (nadąsana). W każdym razie gniewam się na nich i miałabym ochotę czemś podobnem im się odpłacić.

Luluś. O, ja też o tem myślałem, skoro oni zażartowali sobie z ciebie, my z nich zażartujemy. Wierzaj, to dla nich będzie największa kara.

Zula. Jakim sposobem?

Luluś. Przebiorę się za doktora, potem zawołamy ich na dół, zbadam ich, przepiszę jakie obrzydliwe lekarstwa i nie pozwolę iść jutro na operę. Niech się przez kwadrans pomartwią, dłużej ich dręczyć nie będę.

Zula. Doskonale! Niech się trochę pomartwią. Nic im to nie zaszkodzi, skoro są zdrowi, a gdy się wszystko wyjaśni, zawstydzą się swego kłamstwa. Ale jak to zrobić, żeby nie poznali?

Luluś. Może masz jaką perukę, brodę, jakie ubranie..?

Zula (klaszcząc w ręce). Doskonale, mam, mam! Urządzamy teraz z mamusią szop-

kę w ochronce. Mam właśnie brodę dla Heroda, perukę (wyjmuje z szuflady). O, są okulary, stary kapelusz tatusia.

Luluś. Znakomicie, zaraz się w to ustroję (kładzie perukę, zakłada brodę). A może jest jakie obszerne palto?

Zula (wybiega do przedpokoju, przynosi palto, pomaga Lnlusiowi się ubrać). Wybornie! Jak ty teraz paradnie wyglądasz. Istny Abradakabrus z bajki. Będę się starała ciągle myśleć o czemś poważnem, bo inaczej wybuchnę śmiechem. (Śmieje się) Ha, ha, ha...

Luluś (grożąc jej). Niech się panienka uspokoi, to nie żarty! Będziesz się ze mnie śmiała więcej, jak zacznę mówić po łacinie. Nie wiele ja coprawda umiem, bo jestem realistą, ale chłopcom i to zaimponuje. Lecz każ ich poprosić.

Zula. Dobrze, zadzwonię na Antosię.

Luluś. To Antosia jest jeszcze u was?

Zula. A jest zawsze i mówi jak dawniej „naprzykład" i „tak dalej". Pamiętasz? (dzwoni).

SCENA VII.

Ciż, Antosia.

Antosia, Panienka dzwoniła? (spostrzega Lulusia). Ale cóż to za dobrodziej? Olaboga świętego.

Zula. Nie poznajesz? to przecież pan Luluś. Tylko się tak zabawnie ustroił. Będzie teraz doktorem i wyleczy nam chorych chłopców.

Antosia (obchodzi Lulusia dokoła). Prawda, to pan Luluś. Ale, naprzykład, chciałam powiedzieć, nic a nic do siebie nie podobny.

Zula Moja Antosiu, idź do pokoju paniczów i powiedz, że ich proszę na podwieczorek (wskazuje na Lulusia) a o tym dobrodzieju nic nie mów, pamiętaj.

Antosia. Nic panienko nie powiem, poproszę przez drzwi i ucieknę, bo by panicze poznali, że się śmieję. (Patrzy na Lulusia). Mój Boże, taki galanty pan i takiego cudaka z siebie zrobił, i tak dalej. O Matko Przenajświętsza!

Zula. Nie wydziwiaj, Antosiu, tylko leć po chłopców, a spraw się dobrze. (Antosia wychodzi).

SCENA VIII.

Zula, Luluś.

Zula. Usiądź Lulusiu, zrób poważną minę i czytaj (daje mu gazetę). Ja zacznę trochę przyrządzać do podwieczorku. Jak się porządnie uśmiejemy, to z większym apetytem wypijemy kawę.

SCENA IX.

Ciż. Zbyszek. Ryś.

Zbyszek. Podobno nas wołasz na kawę? Doskonale! (spostrzega przebranego Lulusia i milknie).

Ryś (ciągnie Zulę za rękaw). Zulu, co to za pan?

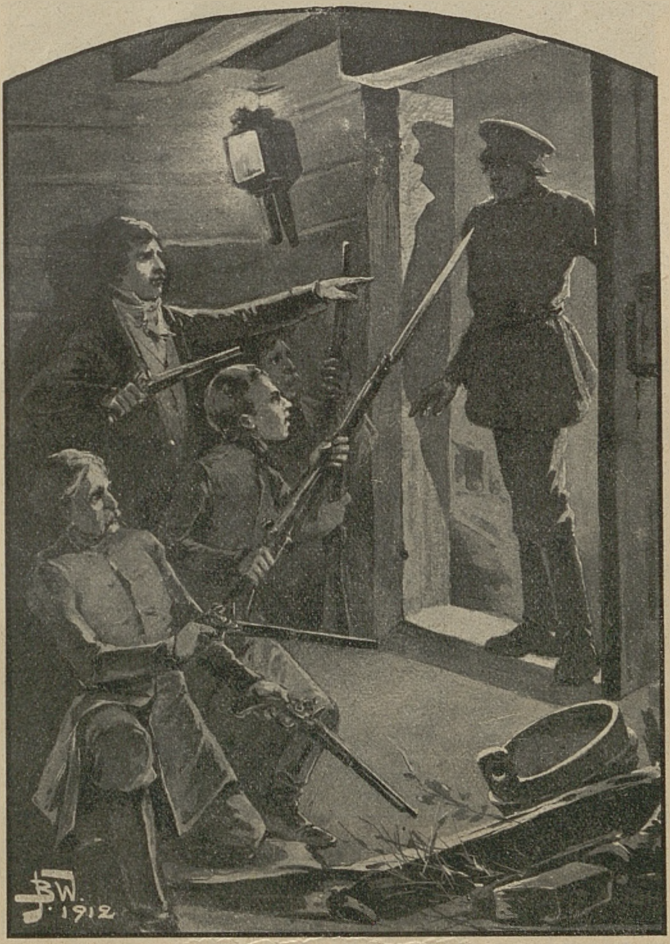
Zula (bierze chłopców za rękę i zbliża się z uszanowaniem do siedzącego Lulusia). Pozwoli pan doktór przedstawić sobie moich dwóch braci. To oni właśnie tak gwałtownie przed chwilą zachorowali, że aż zmuszoną byłam telefonować do pana doktora.

(D. n.)

CO CZYTAĆ?

Rok krwi i niedoli *W. Przyborowskiego.* Wydawnictwo M. Arcta.

Do długiego szeregu zajmujących powieści i opowiadań historycznych przybyło nowe opowiadanie, w którem sędziwy dziadunio odprowadza w bezpieczniejsze okolice swoje opiekunki, przyczem dostaje się w Ihumeniu pod komendę generała Dąbrowskiego, jest świadkiem straszliwej przeprawy przez Berezynę i tragicznej sceny palenia sztandarów



.... Czasem sylwetka zarysowała się w otwartej bramie...

roztacza przed trójką swoich wnuków nie obrazy słoneczne wielkich zwycięstw Napoleona, lecz posępne dni odwrotu wielkiej armji przez Litwę. Opowiadający, jako porucznik ułanów, następnie instruktor litewskiego pułku szwoleżerów gwardji, bierze udział gorący w walkach, w których poraniony, dostaje się pod dach litewskiego dworu. Pielęgnowany troskliwie, zaledwie podleczony, w obecności Napoleona. Bohaterskie przygody wojenne są przeplatane epizodami komicznemi, a wielka żywość opowiadania, wierny koloryt historyczny, zapewnią tej książce, ilustrowanej nader udatnie przez znanego rysownika, B. Wisłockiego, przy formie lekkiej i zajmującej, niewątpliwie szczerą sympatję czytającej młodzieży.

W dalszym ciągu miłośnikom historji polecić możemy książkę p. t. **Jaksowie** (Bracia Zmartwychwstańcy) *J. I. Kraszewskiego*, streściła dla młodzieży *Wanda Leliwa*. Wydawnictwo M. Arcta.

Piękna opowieść z czasów Bolka Wielkiego o braciach Jaksach, nabrała w tem streszczeniu więcej jędrności, dzięki czemu czyta się żywiej i chętniej. Dwaj bracia z możnego rodu Jaksów, podmówieni przez bawiącego na ich dworze Niemca, napadają, na wzór niemieckich baronów, na przejeżdżających kupców, wiozących towary dla króla. Zabiwszy ich, zabierają łup bogaty, lecz wkrótce są wezwani przed króla i mają z rozkazu popędliwego Bolesława śmiercią być ukarani. Świątobliwa królowa Emnilda wraz ze spowiednikiem królewskim postanawiają ukryć obu braci, pewni będąc, iż król wydał ten surowy wyrok w chwili pierwszego uniesienia. Gdy po mniemanem straceniu braci, cała ich liczna i można rodzina usuwa się od dworu, król żałuje gorzko swej porywczości, a wtedy królowa przyprowadza obu skruszonych winowajców, błagając o łaskę dla nich i dla siebie za nieposłuszeństwo rozkazowi królewskiemu. Król przebacza chętnie, co mu powraca serca wszystkich, którzy boleli nad śmiercią braci.



.... na koniu siedział nieboszczyk podtrzymywany przez kilku ludzi....

Zajmującą tę książkę ozdabiają piękne ilustracje B. Wisłockiego.

„O własnych siłach“.



Przed tronem Najwyższego stanął duch srebrzysty, a twarz jego, zwykle jaśniejąca niebiańską pogodą, zasępioną była i smutną; złożone błagalnie dłonie i wzniesione błękitne oczy zdawały się szeptać słowa prośby, choć usta milczały.

Zrozumiał Pan Niebios niemą modlitwę i zapytał dobrotliwie:

— Czego pragniesz, mój synu!

— Racz mnie wysłuchać, o Panie mój i Władco! — zawołał duch srebrzysty głosem, pełnym drżenia i bólu. — Otom na chwilę opuścił oczy moje na dół, ku państwu Twojemu, co się Ziemią zowie i wnet uczułem niepokój i trwogę, która wstąpiła do serca mego, wyganiając zeń bezpowrotnie cichą pogodę, ten skarb największy, jakiegoś nam w nieskończonej dobroci Twojej, udzielił. Bo oto ujrzałem wyłaniający się z mgieł i oparów świat wielki, szary, a na nim miljony drobnych istot, poruszających się w najrozmaitszych kierunkach, kręcących się wokoło bez chwili wypoczynku. Nie to mnie przestraszyło, że byli nędzni, wyniszczeni i brudni, nie to, że w ciągłym ruchu nie widzieli, jak jeden drugiego popychał, nieraz przewracał i deptał, nie to, że często krwią zbryzgane były ich ręce, a suknie podarte i pokryte potem, — lecz to, że cała wielka przestrzeń napełniona ludźmi, była zewsząd otoczona nieskończonemi falami, które szumiały głucho, zbliżając się ku nim. Widziałem, jak ci, co byli najbliżej, wpadali do mętnej wody, gdy inni, nieświadomi niebezpieczeństwa, w dalszym ciągu biegali, kręcili się, żyli, a woda wolniutko, lecz bezustannie, posuwała się ku nim. Znikąd ratunku, nikt nie spieszył uprzedzić, że śmierć czyha na nich, że się zbliża z każdą przeżytą chwilą, z każdym krokiem, zrobionym ku brzegom. Natenczas, zakrywszy oczy, przybiegłem na stopnie tronu Twego, o Wszechwładny, ciesząc stroskane serce nadzieją, iż zechcesz, w wielkiem miłosierdziu Twoim, ocalić dzieci Ziemi od niechybnej zguby!

Skończył i wzniósł ku Panu błękitne źrenice, drżące bolesnem błaganiem.

Przez niebiańskie oblicze Najwyższego przebiegł cień, zmarszczka surowa zarysowała się między brwiami Jego: milczał długo, aż wreszcie wyciągnąwszy wszechpotężne dłonie nad pochyloną głową klęczącego ducha, rzekł:

— Idź do nich!

Stroskana twarz mieszkańca niebios rozbłysła promienistemi blaskami, usta zadźwięczały hymnem dziękczynnym, srebrzyste skrzydła zaszeleściały cicho, wznosząc się do lotu. Serce, przepełnione współczuciem dla tonących, drżało radośnie na myśl, że oto leci ku nim, niosąc ratunek.

* * *

W gronie śnieżnie białych aniołów, otaczających tron, siedział Pan stworzenia, słuchając przeczystych hymnów czci i miłości, napełniających przestrzeń niebieską drganiami łagodnemi, jak wiosenne powiewy leśne, uroczemi, jak jasna zieleń pól majowych, kojącemi, jak cisza gwiazd mrugających w noc sierpniową. Pan słuchał, a oblicze Jego jaśniało dobrocią nieskończoną, miłością olbrzymią, przebaczeniem niepomiernem.

Nagle, falujące śpiewnemi dźwiękami powietrze, zajęczało trwożliwie i oto na stopnie tronu padł wysłannik Boży, ze złamanemi skrzydłami, skrwawionemi stopami, zbrukanemi szatami. Twarz jego pokryta ludzką bladością, świeciła ludzkiemi łzami, padającemi ciężko na złociste stopnie. Usta zczerniałe poruszały się boleśnie, lecz wydobywały się z nich tylko jęki drżące i słowa bezładne, niezrozumiałe dla mieszkańców Nieba.

Bracia - aniołowie otoczyli leżącego ducha, chłodząc rozpalone czoło poruszeniami jasnych skrzydeł, ocierając łzy białemi sukniami, zwilżając usta kielichami wonnych kwiatów. Posłannik Boży leżał czas jakiś nieruchomy, z zamkniętemi oczami, bezwładnie opuszczonemi skrzydłami i tylko pierś jego poruszała się głębokiem westchnieniem. Zwolna wszakże ożywiać się zaczął: zwieszona na piersi głowa wyprostowała się, powieki uniosły, ukazując wyblakły błękit znękanych źrenic, w którym, jak djamenty, świeciły się dziwne blaski, rozlewające światło na całą jego postać. Pokaleczone, wynędzniałe ręce wyciągnęły się ku Panu, a wargi z najgłębszą pokorą wyszeptały:

— Ojcze, zmiłuj się nademną!

— Wstań, mój synu! — rzekł Pan świata pełnym miłości głosem — opowiedz coś widział, coś zrobił i proś, o co prosić pragniesz.

Wielkie djamenty w źrenicach zbolałego ducha zajaśniały silniej, schylił głowę nizko, podumał i tak mówić zaczął:

— Gdy rozkazem Twoim wysłany zostałem na Ziemię, leciałem zrazu lotem szybkim i lekkim, podobnie błyskawicy, przerzynającej pokryte chmurami niebo; później skrzydła ociężały: leciałem już tylko z chyżością jaskółki, aż wreszcie i to było zbyt prędko. Im bliżej byłem Ziemi, tem większe mnie opanowywało zmęczenie; piersi moje oddychały z trudem powietrzem, napełnionem wyziewami, dymem, kurzem. Spostrzegłem, iż srebro mych skrzydeł zatracało blask, pokrywając się ciemną powłoką, a szaty stawały się coraz mniej białe. Lecz nie ustawałem, podnosiłem opadające ze zmęczenia skrzydła i leciałem, leciałem bez końca, gorąco pragnąc znaleść się jaknajprędzej pomiędzy ludźmi. Oczy moje, wybiegające z tęsknotą przed siebie, ujrzały wreszcie migocące w oddali wodne fale, a ucho wkrótce dosłyszało ich groźny pomruk. Zebrałem siły i znalazłem się nad nimi, nad temi spiętrzonemi wałami, bijącemi jeden o drugi, ryczącemi, wyjącemi. Z wściekłością uderzały o przestarzałe mury, które stojąc nieruchomie, bro-

niły ginących. W niektórych miejscach ustępowały pod gwałtownemi atakami spienionych wód, gdzieniegdzie stawiały im niepokonany opór. Wówczas zawstydzone bałwany odbiegały, a na ich miejsce zjawiały się drobne fale, brudniejsze jeszcze i mętniejsze, które z cichym szmerem, podobnym do tłumionego jęku wściekłości, uderzały o mury jedna po drugiej ciągle, bezustanku, aż żłobić zaczęły bruzdy coraz głębsze; wkrótce usłyszałem przeraźliwy trzask walących się w wodę odwiecznych murów.

D. c. n.

Łamigłówka kreskowa

ułożona przez J. W.

—o—

Kreski i krzyżyki zastąpić pojedyńczemi literami tak, aby środkowe rzędy krzyżyków, czytane wzdłuż i wpoprzek utworzyły tytuł jednej z nowel Sienkiewicza.

Sylaby: kar, kar, mag, do, lek, b, czar, a, pon, ty, tacz, de, o, ne, ne, trycz, sław, ach, burg, ry, o, ku, za, le, fry, e, mo, pa, kręż, ba, nu, ność, rze, ui, gło, zur, ni, sta, bal.

```
              X
            — X —
          — — X — —
        — — — X — — —
      — — — — X — — — —
    — — — — — X — — — — —
  — — — — — — X — — — — — —
  X X X X X X X X X X X X X X X
  — — — — — — X — — — — — —
    — — — — — X — — — — —
      — — — — X — — — —
        — — — X — — —
          — — X — —
            — X —
              X
```

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Zabawa taneczna.
3. Rozrywka towarzyska.
4. Pocisk wybuchający.
5. Miasto w prowincji Saskiej.
6. Wyspy w Azji.
7. Postać z trylogji Sienkiewicza.
8. Wyraz obrany za zadanie.
9. Potężna siła natury.
10. Zbiór wód na południu Europy.
11, Imię męskie.
12. Zabawa ludowa.
13. Paznokieć zwierzęcia.
14. Wykrzyknik.
15. Samogłoska.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez «Witolda».

—o—

Z następujących sylab ułożyć 15 wyrazów, których począ'kowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko poety polskiego.

Sylaby: u, ły, ce, o, zan, lo, bar, kwa, na, an, sy, i, lja, gwaj, ja, ka. na, kro, ba, ri, glja, maj, dyl, zi, tos, nek, je, cy, ko, lo, ko, wę, ru, ur, se, strja, gorz, gła, za.

Znaczenie wyrazów:

1. Wyspa w Ameryce środkowej.
2. Rzeczpospolita w Ameryce Południowej.
3. Roślina czczona w Indjach.
4. Owad.
5. Naczynie starożytne.
6. Wyspa na morzu Śródziemnem.
7. Państwo w Afryce.
8. Rzeka we Francji.

9. Część pnia.
10. Wulkan w Meksyku.
11. Ryba.
12. Państwo w Europie.
13. Materjał budowlany.
14. Płaz.
15. Półwysep w Europie.

SZARADA

ułożona przez Władysława P.

Pierwsza i *trzecia*—to napój smaczny.
Druga i *czwarta*—sprawia ból znaczny.
Druga i *trzecia* —miasteczko mamy,
Trzecia i *druga*—na psa wołamy.
Piermsza i *czwarta*—nazwa mieściny,
Wsławionej cudem, het, w Palestynie,
Gdzie Jordan bystrym potokiem płynie.
Pierwsza i *druga*—następstwem winy.
Czwarta—przyimkiem częstokroć bywa,
Wszystka—pustynie z trudem przebywa.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Do numeru dzisiejszego (49-go) dołącza się dodatek bezpłatny książkowy za Listopad pod tyt. **Cuda wyspy tajemniczej tom I szy.**

Rozwiązanie szarady z Nr. 44.

Lub — lin. Lublin.

Rozwiązanie łam. sylabowej z Nr. 45.

1.	Sycylja
2.	Turyn
3.	Amur
4.	Njagara
5.	Indusi
6.	Stanisław
7.	Łoś
8.	Armata
9.	Wino
10.	Wezera
11.	Y
12.	Sekwana
13.	Pianino
14.	Iris
15.	Amor
16.	Ń
17.	Samson
18.	Kometa
19.	Izabella

Stanisław Wyspiański.

Rozwiązanie łamigł. kreskowej z Nr. 45.

M
A l e
L o t u s
C z e s ł a w
Z a k r o c z y m
E u p a t o r j a
W a n **D** y c k
S y r j a
K o s
I

Wystawa lalek i zabawek w Sali Ratusza została otwarta dnia 5 go Grudnia. Trwać będzie do 10-go Grudnia. Szczegółowe sprawozdanie w następnym numerze.

Warunki prenumeraty (do 1 Stycznia 1913 r.).

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	„ 1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	„ — „ 90

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3